

Rozległy horyzont

Niedawno widziałem Ninę Andrycz na zamkowym zgromadzeniu Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”, jak z nieklamana pogodą ducha starszej damy i z poczuciem humoru zasiadła na królewskim tronie i pozwalała się fotografować. Teraz dowiaduję się, że jej dziełki książka „Bez początku, bez końca” została wyróżniona nagrodą Warszawska Premiera Literacka w Klubie Księgarza i dziś wyróżnienie to zostanie wręczone. Gratuluje.

Pierwszy tom wspomnień, czy – ściślej rzecz ujmując – prozy autobiograficznej „My rozdwojeni” (1992) zakończyła autorka na wrześniu 1939 r. Podobne gatunkowo dzieło najnowsze rozpoczyna od momentu zakończenia wojny. Do czasów wojny i okupacji wraca w tzw. kalendarzykach, czyli notatkach sporządzanych w tamtym czasie (w formie nie tyle dziurysza, co dziennika duszy).

„Ta praca natychmiast żąda całego człowieka. Nie wystarczy jej cztery godziny rannej próby. Wieczorny spektakl wkrótce też nie wystarczy. Od chwili wzięcia tekstu trzeba z nim niejako zająć w ciężę. Z początku nauczyć się słów napisanych na papierze, a potem zapomnieć, że to czyjś słowa. Z własnej krwi i wyobraźni rodzi się bowiem na scenie żywy człowiek” – pisze Nina Andrycz. Jak w tomie pierwszym dominowały opowieści teatralne, tak samo przeważają one w tomie drugim. Tyle tylko, że tam była to szkoła teatralna i pierwsze role w Teatrze Polskim, w tym słynna kreacja Solange z „Lata w Nohant” Iwazkiewicza, które to imię potem przy-

ignęło do aktorki i wielu znajomych nazywało ją tak przez długie lata.

Druga opowieść zaczyna się od obrazków z powojennej Łodzi i odnajdywania się ludzi po okupacyjnej wędrówce ludów. Potem akcja przenosi się do Warszawy; została doprowadzona do połowy 1947 r., czyli do ślubu z Józefem Cyrankiewiczem, ówczesnym premierem rządu. W tle – niekończące się dysputy polityczne i światopoglądowe (a jakże) z przyjaciółmi: Adamem Mauersbergerem, Adolfem Rudnickim, Jerzym Andrzejewskim, Zbigniewem Mitznerem (także w roli swatki), Pawłem Hertzem, znakomitymi starszymi kolegami i reżyserami, m.in. Juliuszem Osterwą. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że dialogi są nieraz tasiemcowe i chyba – delikatnie mówiąc – sfabularyzowane. Natomiast opisy życia politycznego są już wysnute z optyki dzisiejszej, kiedy na nowo rozdzielono racje.

Nina Andrycz nie pozostaje w tyle wobec młodszych koleżanek po plórze. Nie brakuje u niej demonstracji wyzwolonej kobiecości, nie brakuje zwierzeń miłosnych, nawet erotycznych, typu: „I właśnie ten idiotyczny mus zamienia mnie nagle w sukę przy drodze...”. A dalej to nawet boję się cytować. Choć autorka zawsze powraca do myśli, że ponad wszystkim górowała u niej potrzeba wielkiej miłości i pasjonującej pracy.

Niejeden czytelnik zdziwi się, że wielokrotnie Nina-Solange stawała na rozdrożu pracy literackiej i aktorskiej. Pisała przez całe życie od wczesnej młodości, choć wydawać zaczęła dopiero po sześćdziesiątce. Poszukiwała też głębszych pokładów inspiracji. Studiowała i praktykowała wiedzę Wschodu i filozofię



europejską. Szukała kontaktu z ludźmi wtajemniczonymi, interesowała się odkryciami w zakresie podświadomości. Wszystko to, w połączeniu z głębokim przyswajaniem tekstów literackich, dawało rozległy horyzont duchowy i erudycyjny. Przytacza też autorka swoje przemyślenia, aforyzmy i olśnienia. Co nie oznacza, że pomija zupełnie anegdoty i riposty swego środowiska. Zwłaszcza dotyczące swą największej roli w tym okresie – Kasandry wedle „Orestei” Ajschylosa.

Kiedy się komuś poskarżyłem, że przy lekturze tej prozy nie mogę się oprzeć uczuciu pewnej sztuczności stylu literackiego i zachowania – rozmówca odpowiedział mi: „Czegoż chcesz, to był sznyt obowiązujący i wówczas naturalny, z lekka stylizowany na arystokrację duchową i rodową”.

● JAN ZDZIŚLAW BRUDNICKI

Nina Andrycz „Bez początku, bez końca”, Książka i Wiedza, Warszawa 2003, s. 280.